W młodych oczach



CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

(ZATWIERDZONE DO BIBLIOTEK UCZNIOWSKICH DLA MŁODZIEŻY POWYŻEJ LAT 14 PRZEZ MIN. W. R. i O. P., 15. VII. 38. Nr. II. Pr. — 16007/38).

Nr 8 (12) WARSZAWA Rok 2

WYD. ORGANIZACJA PRACY OBYWATELSKIEJ MŁODZIEŻY STRAŻ PRZEDNIA

H. Małaszkiewicz, Siedlce, II lic.

NIC O NAS BEZ NAS

Śląsk Zaolzański na wieki zjednoczony z Polską

Dnia 2-go października wojska polskie posłuszne rozkazowi Naczelnego Wodza wkroczyły na zagrabioną nam w krytycznych chwilach, starą ziemię piastowską, Śląsk. Fakt ten szeroko komentowany przez zagraniczną dyplomację i prasę, uważany jest nie tylko za akt sprawiedliwości dziejowej, lecz także za tryumf zdrowej polskiej myśli politycznej i siły państwa, tryumf tym większy, że zawdzięczamy go sobie samym.

Polityka polska złożyła celująco egzamin dojrzałości, wykazując, że byliśmy i jesteśmy zdolni do samostanowienia, do samodzielności w decyzjach i pełnej za nie odpowiedzialności.

Konsekwentnie realizowana dewiza „nic o nas bez nas", niezależna, zdrowa postawa wobec aktualnych wydarzeń, sprawiła, że osiągnęliśmy cel bez oglądania się na innych, bez cierpliwego wyczekiwania w przedpokojach europejskich dyplomatów. Polityka ta kierowała się w swych decyzjach jedynie trzeźwą oceną rzeczywistości, twardą racją swego stanu. U podstaw polskiej polityki tkwią niewzruszenie czynniki, które bezwzględnie decydują o jej kierunku. Są to: odwieczny pęd do wielkości, tradycyjna pokojowość, głęboko zakorzenione poczucie honoru, oraz dotrzymywanie zobowiązań.

Polska wytknęła sobie tak jasne, w założeniu swym równie proste jak i głębokie szlaki swego rozwoju, że nieporozumień być nie może. Mogą być jedynie krótkowzroczne złudzenia lub brak dobrej woli.

W dwudziestolecie Niepodległości Rzeczpospolita zwiększyła swe granice, dając tym wymowny dowód, że kroczy drogą wielkomocarstwową, wiodącą do potęgi równej największym mocarstwom świata.

•

A tymczasem — polityka mocarstw (Francja, Anglia) kilkakrotnie już ostatnio w stosunku do Czechosłowacji ponosi beznadziejną klęskę.

Paradoksalna sytuacja! Z takim trudem lepiony, malowany, gmach Republiki Czechosłowackiej budowniczowie, uznając swe błędy, rozbierać musieli własnymi rękami.

Bezkrytyczne, niezwykle konsekwentne posługiwanie się jałowymi, skrzepłymi doktrynami, omszałymi konwenansami polityki, przyprawiło już nie raz hołdujące im mocarstwa o kłopoty. Począwszy od zerwania klauzul traktatu wersalskiego przez Niemcy, poprzez sprawę Abisynii i skończywszy obecnie na Czechosłowacji, powoli lecz ciągle cofają się one, cal, po calu, ze zdobywanych z takim trudem pozycyj, ustępując narodom innym, prężniejszym, o silniejszej woli istnienia, bardziej postępowym.

Rozkład istniejących ustrojów „demokratycznych" w dużej mierze przyczynił się do kryzysu Ligi Narodów. System zbiorowego bezpieczeństwa zawiódł poza tym, gdyż mocarstwa nasycone widzieć w nim chciały stróża swych interesów, placet dla swej polityki, oraz „miecz Damoklesa" dla malkontentów.

Wersal zbyt mocno, przy stałych kołysankach o szczęściu ogólnym, utożsamiał Ligę ze sobą, ażeby stać się ona miała czymś więcej niż terenem egoistycznych rozgrywek w skali międzynarowej. Koncepcja Ligi, mającej być terenem współżycia narodów, przerodziła się zbyt szybko w policyjny system bezpieczeństwa dobrze sytuowanych mocarstw. Dziś na powrót do przeszłości jest już za późno.

I jeśli mocarstwa te, zacofane w swym egoizmie, nie wyciągną stąd (może nieco za późno) odpowiednich wniosków na przyszłość i zechcą utracone atuty odebrać praktykowanym dotychczas sposobem, to zn. kosztem innych, śmiało można będzie zapytać: dziś na ołtarzu pokoju złożono Czechosłowację. Kto będzie następny?

Polska uczyniła męski, zdecydowany krok na drodze swego rozwoju. Jest to droga jedynie godna naszego Narodu. Kroczyć po tej drodze mogą jedynie silni. Musimy więc wytężyć wszystkie siły, byśmy innym pod żadnym względem nie ustępowali.

Współpracy międzynarodowej nie odrzucamy, wierni przestrzeganej zasadzie pokojowości, lecz możemy podejmować ją jedynie na płaszczyźnie równej i sprawiedliwej. Uznali to już dawno nasi odwieczni... wrogowie. I potrzeba tylko, by uznali to też nasi odwieczni... sprzymierzeńcy.

w młodych oczach

czasopismo młodzieży szkolnej

(zatwierdzone do bibliotek uczniowskich dla młodzieży powyżej lat 14-tu przez Min. W. R. i O. P.)

Wyd. przez O. P. O. M. **STRAŻ PRZEDNIA**

Nr. 8 (12) Warszawa, 11 listopada 1938 r. Rok 2









CZY „MŁODZI IDĄ"?

Pierwsze dwudziestolecie naszej niepodległości zachęca do obrachunku w wielu dziedzinach związanych z siłą i rozwojem państwa. Dwadzieścia lat to spory okres czasu. Wiele może się zmienić w życiu zbiorowym, przemiany te mogą być tak gruntowne i trwałe, że pamięć o nich przechodzi do historii.

Dwudziestolecie, w którym żył i działał w Polsce Józef Piłsudski, przejdzie do historii, jako okres wyjątkowy, ponieważ w ciągu tych dwudziestu lat Polska odrobiła zaniedbania co najmniej lat dwustu. Istnieją dziedziny, w których dokonał się postęp wręcz rewolucyjny, istnieją jednak i takie, w których „gołym okiem" zmian dostrzec jeszcze nie sposób. Do pierwszych należy armia, nasze stanowisko w świecie, ustrój itp., do drugich należą między innymi sprawy naszej kultury, wychowania, sprawy młodzieży. Jeśli chodzi o oświatę to właśnie w momencie dwudziestolecia dokonuje się u nas gruntowna reforma, która wchodzi w życie, mając do zwalczenia wiele przeszkód i oporów.

Gdy chodzi o młodzież, to sprawa przedstawia się już zgoła inaczej. Wydaje się na pozór, że od chwili wskrzeszenia państwa nic albo bardzo niewiele u nas się zmieniło. Dzisiejsza młodzież niewiele zdaje się różnić od tej, która weszła niegdyś w życie niepodległego narodu. Ba, słychać głosy, że w młodym pokoleniu nie tylko nie dokonały się przemiany na lepsze, ale że młodzież dzisiejsza jest — gorsza, jest mniej warta od dawnej, ba, i od tej, która żyła w niewoli! Ten ciężki zarzut znajduje na pozór dość łatwe uzasadnienie. Tamta młodzież żyła ideą niepodległości, a gdy nadszedł czas, chwyciła za broń, składając ojczyźnie obfitą ofiarę krwi. Tamta młodzież miała głębokie i poważne zainteresowania, miała swe ideały, które dodawały jej uroku i powabu w oczach starszych. Wśród głębokiego marazmu lat przedwojennych, wśród zmagań wojny i rozkładu starego porządku po wojnie, tamta młodość przedstawiała wartości nowe, których zrujnowane życie zbiorowe gwałtownie się domagało. Młodzież z przed dwudziestu, trzydziestu lat miała swą rolę do spełnienia i znaczny odłam młodzieży spełnił ją, pozostawiając po sobie pamięć bohaterstwa, wytężonej pracy i rewolucyjnych wysiłków.

Dziś — czasy się zmieniły.

Powtórzy to wyraźnie: czasy się zmieniły, a nie młodzież. Żyjemy w czasie, który pomimo głębokich zaburzeń wojennych uważać musimy za czas pokoju. Rewolucje, przełomy, wstrząsy wojenne dla nas Polaków należą do przeszłości. Wolno i należy oczekiwać ich też w przyszłości, ale nasza teraźniejszość jest okresem utrwalania zdobyczy i pokojowej, ewolucyjnej pracy. I nie trzeba dodawać, że dla młodych pokoleń jest to czas znacznie bardziej trudny, niż chwile przełomów i wstrząsów. Bo młodzież jest z natury rzeczy nowatorska i rewolucyjna. Woli wykazywać swą siłę w dniach walki, w bohaterskich zrywach i gwałtownych przemianach, niż w statecznym, pracowitym, powszednim dniu pokoju. Woli w kawaleryjskim ataku gnać na nieprzyjacielskich karkach niż mazać wiecznym piórem po liniowanych kartkach. Woli uciekać ze szkoły do wojska — i nigdy odwrotnie. Jest to przykra dla starszych prawda, że młodzież woli walkę od pracy. Dlatego w tęsknocie do walki stwarza sobie jej namiastkę, masowo garnąc się do sportu. Dlatego też był czas niedawny, że szukała niekiedy ujścia w zakazanych dziedzinach polityki, tłukąc się wzajemnie po łbach w imię szczytnych ideałów. I z ręką na sercu przyznajmy, że młodzież, któraby tego wojennego diabła w sobie nie nosiła, funta kłaków nie byłaby warta. Bo z tego rodzi się w chwilach ważnych duch bojowy, który gna na prawdziwe harce wojenne i każe nadstawiać szyi za miłą sprawę ojczyzny.

Ale gdy takiej „potrzeby" nie ma, sprawa wielce się komplikuje. Bo nie ma rzeczy trudniejszej, niż zmienić młodego zapaleńca o gorącej krwi w cichego potulnego sztubaka. I nie ma chęci, w skutkach bardziej szkodliwej...

A przecież są znaki, że sprawa ta znajduje w Polsce swe słuszne rozwiązanie. I to właśnie — rozwiązanie na najtrudniejszym, najbardziej zaniedbanym odcinku. W szkole. Bo co tam sport, kółka i związki! W tych dziedzinach nigdy nie jest trudno o energię i zapał. Ale szkoła, uprzykrzona, niemiła sercu buda zaczyna wykazywać dziś duże zmiany na lepsze. Przede wszystkim przestaje być sztubą. Sztuba skończyła się już bezpowrotnie i nie jest w Polsce już dziś nikomu potrzebna. I to wolno o sprawie młodzieży w dwudziestolecie nasze dziś powiedzieć. W młodzież, w szkołę, w wychowaniu wstępuje wielka przemiana. Nauczyciel przestaje być belfrem. Szkoła przestaje być sztubą. Idzie tylko o to, by uczeń dzisiejszy zrozumiał doniosłość tej przemiany. Że choć siedzi po dawnemu w zagwazdanej scyzorykiem ławce, przestał już być sztubakiem. Nikt go nie pragnie w ten sposób traktować, a już najmniej — nowy program nauki. Bo nowy program — ku

radości czy też smutkowi ucznia — nie pozwala go już traktować jak nieznośnego paupra. Kto w I-szej gimn. uczy się po angielsku o Babilonii a w I-szej lic. musi pisać prace naukowe z wszystkich przedmiotów a w dodatku umie się obchodzić z „cekaemem“ i granatami gazowymi (czego pan profesor już nie potrafi) ten przestał być żakiem bitym w ciemię i gdzie indziej. Należy się spodziewać, że kto w najbliższych latach wejdzie w progi nowego liceum, ten — chce czy nie chce — wyjdzie z nich człowiekiem pracy i to nierzadko pracy fachowej i odpowiedzialnej. Wyjdzie jako określona i potrzebna wartość w społeczeństwie.

Zależy to oczywiście od szkoły, od nauczyciela, ale w dużej mierze zależy od ucznia. Bowiem reforma szkoły polskiej — jeśli ma się udać — musi się odbyć z udziałem młodzieży. Jeśli młodzież odczuje ducha nowych czasów, który rodzi się w dzisiejszej szkole, to za lat kilka bilans jej pracy będzie inaczej wyglądał niż dziś. Bo dziś trzeba z przykrością stwierdzić, że przez minione lat dwadzieścia młodzież w szkole naszej zbijała bąki, nie mając nic, prócz t. zw. „kryzysu“ sa swe usprawiedliwienie. Ani wojny, ani głodu, ani żadnej rzeczy, która jego jest.

Jeśli wstępuje dziś przemiana w szkołę, musi wstąpić i w młodzież. Jeśli szkoła uwzględnia dziś wymagania życia polskiego, zmienia programy i metody pracy, to musi się również odbyć pospolite ruszenie młodzieży w walce o wiedzę. Młodzież kocha walkę. Ale — Bogiem a prawdą — w ubiegłych latach nie miała tak bardzo o co walczyć. Od dwudziestu lat krzyczy się u nas, że „młodzi idą“, że już, już, tylko co ich nie widać. Ale gdzie idą, po co idą, czy naprawdę tak dziarsko maszerują, tego nikt nie mógł sprawdzić.

Wydaje się, że obecnie marsz ten zaczął się naprawdę. I to drogą najmniej oczekiwaną. Tą, która prowadzi do budy i przez nią. Na tej drodze czeka dziś walka, nie wojenna a przecie równie zażarta. I napewno nie jest to frazes. W dziedzinie nauki napewno nie brak przykładów bohaterskich zmagań, nauka jest to wszakże też wieczna, generalna wojna, jak rzekł ktoś — „na froncie walki z nieznanym“.

Dziś stary frazes musi stać się nową prawdą. Kto z młodych pragnie dziś walki, ten ją ma. W szkole i w uniwersytecie. Jeśli prawdą jest, że „młodzi idą“, to tylko stamtąd należy ich oczekiwać. Niech idą, niechże walczą, a mocno, a ławą, bo przez dwadzieścia lat długo już na to czekano. I więcej już czekać nie można. Ani minuty dłużej.



JAN MARSZAŁEK, (Łowicz).

POŁUDNIE.

Tu — w Pikutkowie — jak wszędzie, w zielonych chmurach listowia
Kwitnie prowincja pod skwarem najbardziej letnim i płowym.

W uliczkach krzewią się lipy i ptasi zielony koncert—
Lipiec dojrzewa w upale i pachnie ziemią i słońcem.

Po sadach białe czereśnie, w pasiekach huczące ule—
Dzień za dniem ciepłem, jak woskiem w słońcu zasklepia się czule.

Nie ma anielstwa, ni zbrodni — w najcichszych spraw szeleści:

Gubią się ciche smutki i płoche, nietrwałe szczęście.
Rozwiane w letniej spiekocie, jak upał ciążą i bolą
Południa uśpionego żałobą i melancholią.

OGRÓD NAD WODĄ.

Gaśnie dzień na zachodzie w żółtawych sierpnia płomieniach.
Sinieje błękitna pieśń dnia.
Nad wodą w szeptach liści zaplątanych wiatr
W żałosnych stygnąc szumach zawodzi smukłe pienia.

Niebo — jak sina wieczność nieobjętych światów
Topi się w martwym stawie doglębnie spokojne.
Obłoki siwe wzbierają kłębami lśniącego wiatru,
Zachód w gasnących blaskach krwawą czerwienią je poi...

Nie ma smutku, jest tylko chłodna rzeczywistość
W tym szybkim nieb mijaniu w zmierzchającym stawie —
Obłok mknie za obłokiem, pierzcha w siną mglistość
I — płynność wszelkich rzeczy znowu mi objawia —

polityka w młodych oczach

Wiktor Laskowski

DROGI TRUDNE LECZ WŁASNE

Gdy się spogląda z perspektywy lat 20 na etapy rozwoju, przez które przeszły państwa Europy, a w tej liczbie i Polska, uderzyć musi obserwatora pewien fakt szczególny. Streścić go można tymi słowy, że życie Polski toczy się w sposób wyraźny swoimi własnymi drogami. Niezależnie od tego, czy drogi te są złe czy dobre, czy wiodą zawsze najprościej do celu — różnią się jednak one wyraźnie od dróg, którymi kroczy reszta narodów i krajów.

Stwierdzenie tego faktu jest rzeczą istotną i ważną. Nie tylko w szerokim świecie, lecz i wewnątrz kraju utarło się przekonanie o wielkiej skłonności Polaków do naśladownictwa. Zakładano z góry, jako fakt stwierdzony, że wszelkie wynalazki z nad Sekwany lub Szprewy cieszą się w Polsce olbrzymim popytem, że przeszczepianie zagranicznych pędów na krajowe dziczki jest normalnym i uświęconym tradycją procesem, i że wreszcie sam wieszcz Adam musiał stwierdzić z melancholią (choć się tym nie chlubi), że „co Francuz wymyśli, to Polak polubi".

* * *

Stwierdzenie niezależności polskich dróg rozwojowych posiada wielkie znaczenie ogólne. W latach powojennych istniała niestety w świecie niewiara w samodzielność i wartość wysiłku polskiego. Świat odzwyczaił się od Polski w długim okresie nieposiadania przez nią bytu państwowego. Świat nie mógł zapomnić, że w okresie upadku dawna Rzeczpospolita była już niemal wyłącznie przedmiotem cudzych oddziaływań i rachub. Świat przyzwyczaił się załatwiać sprawy Europy bez nas. Uznał za rzecz normalną, że Polak to ktoś, komu można coś dać lub zabrać, kogo można skrzywdzić lub obdarować, lecz czyja własna wola w rachuby panów tego świata wchodzić nie może.

Dlatego też kiedy z oparów wojny powstawał nowy porządek europejski, kiedy z trzech wielkich imperiów zaczęły wyłaniać się na mapie nowe granice i nowe państwa, — świat nie był skłonny uznać nas za samodzielny czynnik w polityce europejskiej. Lekceważono i bagatelizowano najbardziej niesporne fakty, świadczące, że już w pierwszych latach niepodległości potrafiliśmy rzucać na szalę dziejów swoją wolę w sposób decydujący. Uparcie i złośliwie chciano uważać nas za dziecko konjunktury powojennej, za twór traktatowy, którego drogi rozwoju wyznaczone będą przez jego protektorów i rzekomych „twórców".

Drogi rozwoju Polski okazały się inne, niż to z wielu stron sobie wyobrażano. Okazały się inne dlatego, że inną była geneza powojennej państwowości polskiej. Polska nie powstała, tak jak np. Czechosłowacja, w wyniku pomyślnej konjunktury i przychylności konferencji pokojowej. Prawie wszędzie tam, gdzie zwycięskie państwa decydowały lub chciały decydować o naszym losie (Gdańsk, linia lorda Curzona, Wilno, Spisz, Orawa, Jaworzyna, Śląsk Zaolzański) decyzje zapadły przeciwko nam. Wszędzie tam, gdzie polska racja stanu osiągała sukcesy największe i dla Narodu najistotniejsze — miało to miejsce przeciwko państwom zwycięskim lub conajmniej — bez ich pomocy. Bez pomocy i bez zgody państw Ententy Polska zakreśliła mieczem swe granice wschodnie. Przeciwko wojskom sojuszniczym, okupującym tereny plebiscytowe, były skierowane powstania górnośląskie. Długo by można było mnożyć przykłady tego rodzaju...

W okresie powstawania Państwa Polskiego miał poza tym miejsce fakt o największej doniosłości dla historii powszechnej. W 1920 roku Polska wygrała „18-tą decydującą bitwę w dziejach świata". Dzieje Europy, a więc i świata potoczyłyby się inaczej, gdyby nie zwycięstwo żołnierza polskiego pod murami Warszawy. Innymi słowy — państwo, które znajdowało się w okresie organizacji i ustalania swoich granic, państwo, które miało być przedmiotem opieki — zadecydowało o losie swoich opiekunów i „twórców". Państwo, które miało być rzekomo tworem Traktatu Wer-

salskiego, (jak to wmawiała w opinię świata propaganda sowiecka, żydowska, czeska i in.), zadecydowała o tym, że wytworzony przez ten traktat układ stosunków mógł wogóle trwać lat kilkanaście.

Dziwne to były i niespotykane gdzieindziej etapy rozwoju... Dziwną i niespotykaną była rola państwa, która już w zaraniu niepodległości tak dobitnie zademonstrowala, czym jest, czym chce być i czym będzie w dziejach Europy...

* * *

Państwo Polskie po swoim powstaniu nie było pupilem wielkich mocarstw Zachodn. Nie było przedmiotem zabiegów, aby uczynić je mocnym, bogatym i zagospodarowanym. Nie płynęły do nas pożyczki i darowizny na odbudowę zniszczeń wojennych. Kłuła w oczy naszych bliższych i dalszych „przyjaciół" nasza siła zbrojna. Wypatrywano sobie oczy, obserwując nasze trudności gospodarcze, oczekując, czy nie załamiemy się pod ciężarem spraw wewnętrznych, czy podołamy im swoim własnym wysiłkiem. Istniały w pewnych sferach nadzieje, że aczkolwiek okazaliśmy się mocni w garści i na polu walki, to jednak, być może, zmogą nas prozaiczne trudności gospodarcze, gdzie nie wystarczy już zapał, patos i bohaterstwo.. Nadzieje te okazały się złudne.

Pierwszym wielkim czynem Polski w dziedzinie gospodarczej była odbudowa zniszczeń wojennych. Nie mieliśmy tu do dyspozycji ani pożyczek ani reparacyj. Własnym wysiłkiem należało odbudować zniszczone mosty, spalone fabryki i zburzone domy. Należało poza tym nie tylko osiągnąć stan rzeczy z 1914 r., lecz pójść dalej i wyżej, ponieważ mieliśmy do odrobienia olbrzymie zaległości, gdyż pod wieloma względami stanowiliśmy prymityw gospodarczy. Istniały w Europie środkowej kraje, przez które nie przeszła pożoga wojenna, kraje uprzemysłowione, bogate i zasobne w kapitały własne, do których szeroką rzeką zaczęły płynąć pieniądze, aby stały się jeszcze bogatsze, jeszcze zasobniejsze, ażeby tym skuteczniej mogły odgrywać rolę agentury wielkich potęg w sercu Europy. Dla nas zabrakło pieniędzy na Wall-Street, w londyńskim City i w skarbach paryskich...

Następstwa samodzielnego wysiłku Polski w dziedzinie odbudowy były jednak ogromne. Nie posiadając zobowiązań w stosunku do mocarstw, nie będąc skrępowana więzami najbardziej dotkliwymi, bo zależnością gospodarczą—Polska mogła sobie pozwolić na kroczenie samodzielnymi drogami wyznaczonymi przez jej własny interes. Trudności, wywołane koniecznością odejmowania od ust sobie i zaciskania pasa opłaciły się stokrotnie, ponieważ dały nam możność pobierania swobodnych decyzyj i wybierania sobie takich dróg, jakie się uzna za słuszne.

I dlatego też, gdy przyszły krytyczne dni wrześniowe 1938 r. i gdy zaczęły trzeszczeć i załamywać się wiązadła powojennego układu stosunków — Polska wystąpiła jako czynnik samodzielny, przygotowany na wszystkie możliwości, dobitnie wyrażający swoją wolę. Dla najbardziej zaślepionych stało się jasne, że Polska jest mocarstwem, któremu nie można narzucić żadnej cudzej woli, która nie będzie kroczyła w niczyim rydwanie, która nie będzie służyła niczyim interesom prócz własnych. Nie do pomyślenia było w owych dniach krytycznych, ażeby Polska, tak jak Czechosłowacja, znalazła się na stole operacyjnym, ażeby o jej losach, o jej życiu i śmierci, decydowało konsylium tych czy innych chirurgów, czy też znawców.

Jak na dłoni uwidoczniła się różnica pomiędzy państwem, będącym dzieckiem konjunktury i tworem traktatowym, — a państwem, którego geneza była inna i które niepodległość swoją ugruntowało na żelaznym kapitale krwi i własnego wysiłku. Pomiędzy państwem, któremu się dało w swoim czasie, a więc i odbiera się w innych okolicznościach — a państwem, które samo wzięło, ile mu siły jego pozwalały i samo potęgę swoją ugruntowało. Pomiędzy państwem, które od dawna już kroczyło własnymi drogami i które nie mogły zaskoczyć trudności i niebezpieczeństwa a państwem, dla którego w dniach krytycznych za późno już było na wybór nowych i własnych dróg...

* * *

Samodzielność wysiłku polskiego zaznaczyła się nie tylko w dziedzinie militarnej, gospodarczej i polityki zagranicznej. W dziedzinie ustrojowej myśl polska bodaj najbardziej zdecydowanie przeciwstawiła się wszelkim próbom naśladownictwa. Ustrój polski, ugruntowany Konstytucją Kwietniową jest ustrojem nawskroś polskim i nie opartym na żadnych wzorach obcych. Nie istnieje w Polsce ustrój parlamentarny, będący źródłem rozstroju i słabości, a który, — jak to wykazał przykład Francji w ostatnich miesiącach — potrafi skutecznie zdegradować wielkie państwo z roli mocarstwa — hegemona do kategorii państwa drugorzędnego.

Nie istnieje u nas ustrój totalny, niwelujący jednostkę do roli bezdusznego kółka w machinie państwowej i zabijający jej osobowość i twórczość. Ustrój Polski jest naszym własnym polskim ustrojem, dopasowanym do naszych warunków i czekającym tylko na wypełnienie w całej rozciągłości żywą treścią społeczną.

Można stwierdzić poza tym jeszcze jeden fakt z tej dziedziny, mogący być słusznym tytułem do zdrowej dumy narodowej. Oto cały szereg państw Europy, zagrożony inwazją zaborczych doktryn, poszedł w ślady Polski i nadał sobie ustrój, oparty na harmonii pomiędzy siłą Państwa a prawami jednostki. O Rumunii, Jugosławii, Litwie, Łotwie i in. można dziś powiedzieć, że posiadają one ustrój — p o l s k i.

* *
*

Gdy z perspektywy 20-lecia spogląda się na drogę, którą przeszła Polska, raźniej i weselej robi się na duszy. W okresie, w którym żyjemy, została bowiem rozbita na drobne kawałki legenda o rzekomej podrzędności wysiłku polskiego. W gruzach też leży legenda o cudotwórczych właściwościach obcych przepisów na potęgę i szczęście.

Raźnie i wesoło żyje się w czasach, dających tyle dowodów, że opłaci się kroczyć trudnymi, lecz w ł a s n y m i d r o g a m i.

Kazimierz Wereszczyński

Łopata i cenzus

...Pokazały się na ulicach mundury. Szorstkie wojskowe sukno, okrągłe czapki — jakieś dziwne naszywki. Srebrne literki J.H.P. Oglądaliśmy się za nimi z ciekawością. J.H.P.? Co też to może być? Jakaś nowa organizacja polityczna, powstała z połączenia grupy Wypsztyckiego z Fijałkowskim? — Ci bardziej wtajemniczeni twierdzili, że to Armia Zbawienia. No, wie pan — nie piją — nie palą — śpiewają hymny — tacy „Anglicy". Przyjmowaliśmy to wyjaśnienie z westchnieniem ulgi i rozczarowania. Więc jednak nie Fijałkowski — szkoda. Lecz mundurów zaczynało być coraz więcej. Prócz suchych sprężystych postaci z wieloma kwadracikami na kołnierzu — widać ascetów wyższego stopnia — dostrzegliśmy raz i drugi w tym samym tajemniczym stroju młodego chłopaka z gębą opaloną, grubymi od pracy rękoma, niezgrabnymi, ciężkimi ruchami. Czyżby i ten doskonalił ducha przez ascezę? Co ciekawsi badacze sytuacji zaglądali natarczywie pod dach mundurowej czapki, lecz spotykali tam radosne, szczere jakieś spojrzenie i uprzejmy uśmiech na czarnej, opalonej facyjacie. Aż jeden z nas nie wytrzymał, zapytał i tajemnica stała się publiczną własnością. — To są Junackie Hufce Pracy. Kadra i junacy — pracują nad budową dróg, regulacją rzek — szkolą się w warsztatach — uczą itd. itd. Sytuacja się wyjaśniła. Teraz czytając w gazetach wzmianki, to o rozpoczęciu przez hufce prac nad nowym odcinkiem szosy, to o święcie topienia noży, mieliśmy przed oczami zasuszonego ascetę i młodego opalonego chłopaka kopiącego gdzieś tam daleko — ramię przy ramieniu, twardą, spaloną ziemię...

Wszystko to było jak żywe, ale oglądane z okna pędzącego pociągu — aż naraz pociąg się zatrzymał, — ogłoszono ustawę o obowiązku służby pracy dla maturzystów. Oj, niedobrze! No cóż, nie ma co „czarować". Gdybyśmy tak twierdzili, że po dowiedzeniu się o czekającej nas robocie powstał wśród „dojrzewającej" braci radosny jubel, warcibyśmy byli honorowego czoła miedzianego jako arcymistrze cechu hurra-entuzjastów.



Ten i ów podrapał się w głowę, ten i ów stęknął ciężko — a wszyscy zgodnie stwierdzili: Cóż robić, trzeba iść — zobaczymy, jak tam będzie. — I było, a jak było, zaraz zobaczycie...

...Wzruszona rodzina odprowadziła mnie na dworzec. Droga ciocia w ostatniej chwili jeszcze przydźwigała wielką pakę — tu masz trochę jedzenia, bo ten ich żołnierski wikt — tu machnęła ręką z rezygnacją — owszem wziąłem, podziękowałem, obiecałem, że będę pisał, tylko wolałem się już pożegnać ze wszystkimi, aby uniknąć głośnych rad dawanych w ostatniej chwili przed odjazdem pociągu, jak to mam się nie przeziębiać, a uważać na siebie, żebym sobie kilofem nogi nie skaleczył, a to, a owo... Z dwojga złego wolałem cichą samotność. Zresztą cicho to tak nie było. Przedział zapchany do ostatnich granic. Prócz mnie jechało jeszcze dwóch młodych dżentelmenów w srodze sportowych czapach i garniturach żywo przypominających dobrze znoszone mundurki szkolne. Każdy strzegł pilnie wielkiej walizy pewnie tak jak i moja wypchanej mieszaniną bielizny i suchych kiełbasek.

Po wymianie wstępnych, wersalskich uprzejmości — przeszliśmy do bardziej rzeczowej rozmowy. Okazało się, że wszyscy jedziemy do tej samej miejscowości, by nareszcie się nauczyć, jak to się naprawdę pracuje. O Junackich Hufcach Pracy wiedzieliśmy tylko tyle, że to takie wojsko z łopatami, są szarże, a jakże — i rygor — Boże ratuj! Cały dzień pracują, a wieczorem mają ognisko, albo świetlicę. Wiadomości za tym niewiele.

Coraz tłoczniej robiło się na korytarzach. Góry walizek, zadzieżyste a w głębi ducha trzęsące kolanami postacie świeżo upieczonych maturzystów zatarasowały wszystkie przejścia. Nareszcie nasza stacja — wysiadamy. Czekają już na nas „starzy junacy", — dowódca... Ustawiamy się czwórkami i — marsz do pobliskiego obozu. Brama z żerdzi a na niej napis „Witajcie" — na nasze przyjęcie. Pod kierunkiem „tubylców" odszukaliśmy wyznaczone nam łóżka — poskładaliśmy rzeczy i pośpieszyli do magazynu po junackie przyodziewki: obszerne bluzy, drelichowe spodnie i buty, w których by snadnie cztery nogi można zmieścić.

I zaczęła się praca. Nie odrazu — o nie. Pierwszego dnia tylko dwie godziny, drugiego już cztery, a potem „dali" nas do takiej „lekkiej" kompanii — jako że towarzystwo mimo wielkiego zapału nie mogło się w robocie równać z „fachowcami". Z początku baliśmy się kpin „prawdziwych" junaków, więc każdy starał się, jak mógł, byleby tylko pokazać, że dla niego taczkę ziemi wywieść, czy wykopać to jak chleb z masłem wsunąć — ale nie tak to łatwo przychodziło. Taczka uparcie spadała z deski, po której należało ją prowadzić, łopata wkrótce uwierała jak nowe obuwie — a przy tym wszystkim słońce paliło bez miłosierdzia. Ale junacy się z nas nie śmieli. Wspominając dzisiaj te chwile podziwiam takt, jaki ci prości zdawałoby się chłopacy potrafili w stosunku do nas okazać. W jak naturalny, sympatyczny sposób umieli służyć nam swą radą, lub nawet czynną pomocą. Jak szybko potrafili przełamać naszą nieufną i zlekka nastroszoną postawę. Bo to nieprawda, że myśmy z nimi nawiązali kontakt — nie — **to oni nawiązali go z nami.**

Wkrótce zaczęły się rozmowy, opowiadania, znajomości. Okazało się, że nasi nowi koledzy posiadają wiele wspólnych z nami zainteresowań i że można z nimi wcale mądrze pogadać. Podziwialiśmy ład i porządek ich obozowego życia — ich jasny i niezmiernie konkretny sposób myślenia. Ich rozumienie problemów nie tylko polskich ale nawet światowych. Widziało się, że ci chłopcy nie tylko czytają i słuchają — lecz również i myślą nad tymi zagadnieniami — a ich wnioski mimo pewnych braków w wiadomościach były przecież logiczne i zrozumiałe. Od nich też dowiedziałem się wreszcie, jak to było i jest z tymi Hufcami Pracy. Akcję zatrudnienia młodzieży bezrobotnej rozpoczął Związek Strzelecki w r. 1933, prowadził dalej Fundusz Pracy — zaś w roku 1936 wyszedł dekret Pana Prezydenta o służbie pracy młodzieży — zaś Junackie Hufce Pracy zostały podporządkowane Ministerstwu Spraw Wojskowych. Rok 1936, to początek nowej ery w dziejach Hufców Pracy. Sprawna i sprężysta ręka wojskowych dowódców pchnęła Organizację na nowe tory rozwojowe. Opracowano szczegółowe programy działalności wychowawczej, zreorganizowano stronę gospodarczą, rzucono w teren wystarczającą liczbę oficerów oświatowych, powołano na kierownicze stanowiska byłych wojskowych, znanych z walorów swego charakteru i ze swego życzliwego stosunku do młodzieży.

Skutki takiego postępowania nie kazały na siebie długo czekać. Hufce Pracy rozrosły się liczebnie, wzrosło i samopoczucie Junaków z chwilą, gdy poznali, że są nie balastem, lecz jedną z cegiełek fundamentów Rzeczypospolitej — zmieniło się nastawienie społeczeństwa do młodzieży, która nieraz w chwili klęsk żywiołowych, powodzi, pożarów niosła mu ofiarną pomoc — a przez cały czas dzielnie pracowała nad trwałymi i dla wszystkich zrozumiałymi inwestycjami.

W roku bieżącym przypada druga rocznica „odrodzenia" Hufców Pracy. Świat junacki święcił ją uroczyście. Czas, aby i całe nasze społeczeństwo — zainteresowane czynnie przez swych „cenzusowych" synów służby pracy młodzieży, zrozumiało ideę tej służby, aby przychylnie odnosiło się do ich poczynań, aby czynnie popierało ich kroki i przedsięwzięcia. A nie trzeba myśleć, że pomoc ta Junackim Hufcom nie jest potrzebna. W czasie naszej bytności w obozach nauczyliśmy się wiele. Poznaliśmy jak smakuje pot pracy fizycznej, przekonaliśmy się, że można mieć pokryte pyłem ręce i zasmoloną odzież, a lepiej myśleć i goręcej czuć, niż laleczki z żurnala — zawarliśmy wreszcie trwałe związki przyjaźni z naszymi kolegami od szpadla i wózka, którzy dziś jeszcze pozostali tam w terenie — ale już za rok, za dwa wejdą w czynne życie produkującego społeczeństwa i wtedy — spotkamy się znowu. Lecz już nie, jako obcy czy nawet wrogowie z przeciwnych stron barykady społecznej, lecz jako sprzymierzeńcy, których uścisk dłoni, zawarty w obozie pracy, ważny jest na całe dalsze życie.

Urywki...

Ostatnio została wydana w języku rosyjskim w Szanghaju książka N. Kisielowa - Gromowa, pt. „Obozy śmierci w Z. S. R. R.". Książka jest tym charakterystycznicjsza, że autorem jej jest były czekista, który z ramienia „Uprawlenia Słon" pełnił funkcje nadzorcze w obozach koncentracyjnych w Sołówkach. We wstępie mówi autor, że pobyt w obozach napełnił go tak wielkim wstrętem, i obrzydzeniem do Sowietów, że nie mogąc dłużej patrzeć na znęcanie się nad bezbronnymi katorżnikami, uciekł z Z. S. R. R. przez Finlandię i znalazłszy się w Szanghaju wydał swą książkę. O książce tej donosi tyg. „Wołyń" w nr 26 z dnia 26 czerwca w notatce p. „Z" pod tytułem: „Szakale" sowieccy. Pan Z. o książce tej tak m. innymi pisze:

Książka Kisielowa-Gromowa zawiera opisy charakterystycznych, jeden od drugiego gorszych epizodów z życia zesłańców. Nie podobna tego przytaczać. Przeraźliwe traktowanie, życie w łachmanach, praca, regulowana normami nie do wykonania fizycznie, mieszkanie w barakach-ruderach, bez posłań, bez dobrego dachu, wszy, brud, okropieństwo. „Ludzie-szakale" — tak ochrzcił to środowisko nie świat cywilizowany, lecz nadzorca-czekista.

Znajdujemy tu opis przerażającego systemu znęcania się fizycznego i moralnego nad człowiekiem. Znajdujemy opis masowych umyślnych okaleczeń, masowych ucieczek w mrok północy na pewną śmierć wśród śniegów.

Znajdujemy wreszcie najkapitalniejszy moment, czegoś, czego równego pod względem obłudy, cynizmu i poniewierania godności ludzkiej świat cywilizowany nie zna. Oto scena: partia zesłańców powraca z lasu po wykonaniu zadania. Dozorca daje rozkaz: „Partia, śpiewać". Partia śpiewa:

„My więźniowie wolnego kraju,
gdzie nie ma męczarni, nie ma tortur.
Nas nie karzą, ale wychowują,
to nie jest tajemnica i nie sekret,
a zagranica tego systemu nie zna,

Tak! Zagranica tego nie zna!





WIKTOR GLAZER

OFENSYWA KULTURY

Mówić będziemy o kulturze — nie tej przez duże K z wawrzynami i wieńcami, ale o tym skurczonym, zapomnianym kopciuszku — kulturze bycia — kulturze dnia powszedniego.

Wydaje się może dziwnym podjęcie takiego tematu w czasach oznaczających się bezprzykładnym wprost uprymitywnieniem i zbrutalizowaniem stosunków międzyludzkich, w czasach, gdy ordynarne kłamstwo panoszy się na miarę światową i usiłuje życia ludzkie i twórczość ludzką uczynić swoim pokornym niewolnikiem, wyssać je, pozbawić najszczytniejszych wartości, a potym cisnąć jak śmieć nieużyteczny w myśl swego fikcyjnego, na zakłamaniu opartego „prawa".

Jeżeli kultura bycia ma stanowić wykładnik wewnętrznego nastawienia człowieka do bliźnich lub problemów — a nie gładką obłudę dyplomatów, to istotnie klimat obecny nie jest dla niej zbyt odpowiedni. Czy znaczy to jednak, abyśmy mieli zrezygnować z walki o coś, co naprawdę więcej w sobie mieści niż zespół suchych przestarzałych form i formułek grzecznościowych? Nie — po stokroć nie.

Nie wolno nam popaść w zniechęcenie, nie wolno odrzucić wszystkiego, co nie wiedzie najprostszą drogą do napełnienia brzucha i kieszeni, czy to pojedynczego osobnika, czy całej zbiorowości — nie wolno dopuścić, aby nad siłą ducha zapanowała siła pięści.

Wyszły niedawno nakładem Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych we Lwowie „Obyczaje towarzyskie" Marii Wielopolskiej — książka traktująca o zewnętrznych formach współżycia ludzi. Na dwustu przeszło stronach omawia autorka mnóstwo sytuacji wymagających znajomości należytego zachowania się, aby nie popaść w konflikt z tak zwanym „dobrym wychowaniem". Od chrztu — do pogrzebu, ...brak tylko przepisu, jaką minę należy zrobić i co powiedzieć, aby zejść jak gentleman z tego padołu płaczu —i jak odpowiadać na pytania na sądzie ostatecznym. Ale to są żarty. Książka jest pożyteczna i przydatna — i to zwłaszcza nam młodym. Uchowa nas napewno od wielu przypadków, w których moglibyśmy uczuć przykre zakłopotanie. Młodzież będzie ją czytać — i nie o reklamę chodzi — ale o pewne drobne uzupełnienia, które się wiążą z naszymi wstępnymi uwagami. Chodzi mianowicie o pewną zewnętrzność ujęcia problemu — „Obyczaje towarzyskie? powiedziałbym raczej „Formy towarzyskie" — bo to jest treścią książki Wielopolskiej.

Jak bardzo brakuje naszej literaturze książki „O grzeczności", o grzeczności będącej wykwitem stanu wewnętrznego człowieka, o grzeczności stanowiącej wyraz jego kultury duchowej —o grzeczności nie lalki, czy manekina lecz myślącej, subtelnej istoty wchodzącej w kontakt z innymi podobnymi, o grzeczności, że ją tak nazwę immanentnej — istniejącej w człowieku i najsilniej z jego istotą związanej. Ale taka książka to trudna rzecz, nie wystarczy obycie tylko, aby ją napisać. Ale obycie jest do tego potrzebne. I dlatego dobrze się stało, że podzielił się z nami ktoś swoim doświadczeniem w tej dziedzinie. Bo, niestety, nawet z tym „obyciem" nie jest wśród nas dobrze. Zbyt łatwo ulegamy duchowi czasu a wrodzona młodym skłonność do upraszczania problemów, znaczna łatwość ulegania wpływom oraz — bądźmy szczerzy — lenistwo prowadzi do tego, że niektóre starsze osoby dostają lekkiego paraliżu na widok zachowania się młodzieży.



rys. KARCZ

Niby to zewnętrzność. Niby można być estetą i dłubać palcem w nosie, można być poetą i wyrażać się jak furman — no chyba, że można — ale wtedy jest się tym kimś tylko dla ludzi, tylko na zewnątrz, wytrwarza się jakaś poza, jakieś nędzne zablagowanie. Czy nie piękniej i pożyteczniej zamiast zabawiać się w grafomanię — dbać o to, aby nasz styl życia odpowiadał temu, co stanowi nasze najtajniejsze marzenia? Czy nie lepiej zdjąć kapelusz przed rzeźbą, niż rzucić obok niej niedopałek, aby nie okazać tego, że „bierze" — że czujemy, co chciał przez nią wyrazić artysta? Chodzi o pozbycie się prostactwa nie tylko wypływającego z nieoszlifiwanej jeszcze natury, ale i tego „obronnego", chroniącego nasze wnętrze przed zbyt brutalnym kontrastem rzeczywistości. Form można się nauczyć — niewielu chyba z nas widziało pana z brzuszkiem zachowującego się jak andrus. To z wiekiem zanika, ale jeśli nie stworzymy w sobie już teraz, już w młodości wewnętrznego odpowiednika grzeczności — jeśli nie będziemy pracować już dziś nad estetyką naszego stosunku do ludzi, to na pewno nie spadnie nam ona z nieba—na pewno nie przeżyjemy przeobrażenia, które bez naszego współudziału i wysiłku zmieni poczwarkę w motyla.

Zjawiska duchowe są zaraźliwe. Są bardziej zaraźliwe niż najcięższa epidemia. Chorzy na cholerę umierają lub przychodzą do zdrowia — a chorzy na duchu żyją, działają i zarażają innych. Ale na wszystko jest sposób. Na bakcyl prostactwa i prawa pięści jest środek z napisem „kultura"— nie ta dyplomatyczna, nie ta estetów dłubających w nosie, nie ta wreszcie ślamazarnych miłośników ludzkości kiwających palcem w bucie, aby jej pomóc w trudnościach — ale ta kultura młodego, zdolnego do twórczości pokolenia — znającego swą tężyznę i pragnącego ją wyładować w pracy dla dobra Ojczyzny i ludzkości.

Zjawiska duchowe są zaraźliwe. I kultura jest też zaraźliwa i zewnętrznie i wewnętrznie. Obyśmy byli nosicielami tej zbawiennej choroby!

TADEUSZ STASINOWSKI, Inowrocław

LAIK I SAMOLOT

Stał, błyszcząc w słońcu lakierem pokrycia. Na ostrzu śmigła wisiało wrześniowe słońce. Za nim ciemniał rozsuniętymi drzwiami hangar z połyskującymi w półmroku białymi literami na zielonych kadłubach maszyn. Przed nim słał się szmaragd lotniska kończący się gdzieś het, daleko rzędem białych słupków. Dokoła kręcili się ludzie. Ludzie w cywilu, w kombinezonach, w drelichach, w mundurach szkolnych. Wśród tych ostatnich bladością oblicza wyróżniał się — „delikwent".

— Poleci?

Opakowali go w kombinezon, kominiarkę, okulary...

— Wsiadaj pan!

Ze srogim marsem na twarzy pilot podszedł do maszyny.

Silnik charknął raz i drugi, odpluł wstęgę niebieskawego dymu i skoczył. Pilot ujął stery.

— Zdjąć podstawki!

Opadła w dół czerwona chorągiewka. P.W.S. 26 ruszył pełnym gazem. Oddany drążek, płoza w powietrzu. Na szybkościomierzu strzałka dochodzi do 90. Pilot wolniuteńko zbiera. Powoli nikną wstrząsy. Maszyna podskakuje raz, drugi i poczyna się piąć ku górze. Wskazówka aneroidu rozpoczyna wędrówkę: ...50 ...100 ...200 ...400. Na czterystu metrach pierwszy wiraż. Domyślasz się tego z trudem. Ziemia powoli obraca się wokół nieruchomo stojącego końca dolnego płata. Górne skrzydła mierzą w słońce. Wyrównanie. Maska wychodzi już nad horyzont... 800... 1000... Nagle wstrząs: ziemia ginie z oczu, pędzi w dół. Widzisz niebo przed sobą i nad sobą. Ziemia wyłania się z pod prawego skrzydła i płynie ku tobie, obracając się zwolna. Teraz wszystko powraca do normalnego położenia. To był zawrót (retournement). Pilot jeszcze nabiera wysokości. Widzisz w lusterku jego twarz, bez marsa. Z pod okularów błyszczą mu ślepia z wielkiej uciechy.

Szum silnika rośnie. Ziemia znów ucieka w dół. Wright'a ciągnie w górę. Czujesz coraz silniejszy ucisk na plecach. Po chwili ukazuje ci się ziemia. Na razie nie możesz się zorientować, co się właściwie stało. Nad twoją głową brunatny sufit z przylepionymi doń białymi domkami. Dopiero szum krwi w głowie nasuwa ci myśl, że to maszyna leży na plecach, kołami ku niebu. Po tej powale posuwa się ślimaczym krokiem oryginalny jakiś stwór: dymiący kurek, dalej drobniutkie człony, jeden za drugim. To pociąg.

Teraz ziemia zmienia położenie: przewala się przez skrzydło i biegnie ku dołowi. Samolot gładko wypływa i zawisa znów nieruchomo nad przesuwającą się zwolna do tyłu daleką i niepotrzebną ziemią. Pilot daje w lusterku znaki, byś sprawdził czy pasy są dobrze zapięte. Silnik gra pełną mocą. Maska schodzi poniżej horyzontu. Strzałka szybkościomierza biegnie wprzód ...100 ...200 ...220. Zaczynasz kombinować, że to jest rozpęd przed pętlą. Maska wyskakuje nad horyzont. Przyciska cię do siedzenia. Ziemia gubi się w dole. Przed oczyma masz niebo. Silnik milknie. W ciszy słychać tylko świst linek. Z za pleców wypływa ziemia i gna ku tobie. Samolot wali się w dół. Przez chwilę masz wrażenie, że samolot wyrżnie w brunatną ścianę, zbliżającą się z za-

(Dokończenie na str 16-ej)

K O L U M N A

SERCA MŁODOŚCI-BEZ TATR

(Zamieszczając niniejszy artykuł celem wywołania dyskusji redakcja zaznacza, iż w poruszonej sprawie nie podziela stanowiska autora).

„Jest dziwny czar wielkiej przyrody,
gdy człowiek czaru nie zakłóca".
(J. Piłsudski, „Czeremoszno").

„Postępowi" materialnemu towarzyszy, niestety, często brutalizacja instynktów i działań. Technolatria, ubóstwienie techniki wznosi nieraz swoje stalowe konstrukcje na gruzach i zgliszczach wartości t. zw. idealnych. Materializm myślenia, odrzucający nierentowne „przesądy", materialistyczny ustrój, mierzący wszelkie dobra skalą kapitału uśmiech ironii sprowadzają na oblicza swych wyznawców, gdy przeciwstawiać im wartości nie dające się zmierzyć, zważyć, kupić ani sprzedać. Obojętne, wrogie im najczęściej wszystko, co na giełdzie nie ma kursu.

Technika, materializm i kapitalizm znalazły sprzymierzeńca — w „szarym człowieku". „Szary człowiek", to tak, jak milimetr, jak gram, jak szyling. Jest to miara schematyczna, umowna, powszechna, jednoznaczna i nie budząca obaw niespodzianki.

Gdy się świątynię na hotel przerabia, gdy wycina stuletnie dęby czy klony, gdy po trupach ich korzeni prowadzi drogę bitą od dworca do hotelu, czyni się to właśnie w imię potrzeb szarego człowieka.

Gdy niedawno, w niemądrym wieku dziewiętnastym, burzył ktoś wspaniałe mury norymberskie Krakowa — w trosce swej przeczuwał niewymyślonego jeszcze szarego człowieka.

Ach, pionierzy postępu, któż po was do czystego ładu przywróci ziemię strapioną?! Któż odwróci wasz wzrok od stopera, manometru, ceduły giełdowej i pokaże — świat, w którym wasze prawo nie jest prawem jedynym?!

Wydrzeć muzyce polskiej Szopena, wydrzeć poezji Romantyków, wydrzeć historii Wawel, — a nie będą bardziej jałowe i puste, niż serca młodości — bez Tatr.

Tatr, o których szeptał poeta, że w nich jednych są jeszcze wolności ołtarze. Bez Tatr, spowitych szkarłatnym płaszczem legendy, grających echem karłowiczowej symfonii niedokończonej, przywalonej szarym głazem śmierci. Bez Tatr owianych ogromnym wichrem nieskończonych przestrzeni, wolnych, nieujarzmionych, jedynych na całej przestrzeni ojczyzny.

„Przychodziły z siekierami podłe Austriaki, żeby ciąć głuche lasy, których nawet bury Moskal nie ważył się tykać. Lecz obroniła się dzika strona swymi wyrwami, kamienistością dróg, wąwozikami górskimi z pieca na łeb, po których nawalnica swego czasu wody przepuszcza. Nie dosięgły Łysicy! Przyszła znowu na swe miejsce Polska..."

Pokolenie nasze zna jeszcze inne miary i wartości, niżeli milimetr, gram, sekunda i parytet złota.

Lecz któż może wiedzieć, czy z plemienia ludzi, gdzie wszystko jest zmienne i niewiadome, nie wyjdą znowu drwale z siekierami, ażeby ściąć do korzenia macierz jodłową na podstawie nowego prawa, w interesie jakiegoś handlu, lub czyjegoś niezbędnego zysku. Jakie bądź byłoby prawo, czyjekolwiek by było, do tych przyszłych barbarzyńców, poprzez wszystkie czasy wołam z krzykiem: nie pozwalam! Puszcza królewska, książęca, biskupia, świętokrzyska, chłopska ma zostać na wieki wieków, jako las nietykalny, siedlisko bożyszcz starych, po którym święty jeleń chodzi, — jako ucieczka anachoretów, wielki oddech ziemi i pieśń wieczności! Puszcza jest niczyja, nie moja, ani twoja, ani nasza, jeno boża, święta!"

...Z plemienia ludzi, gdzie wszystko jest zmienne i niewiadome, wyszli drwale z siekierami, ażeby ściąć do korzenia macierz jodłową...

Omotaną w sieci łańcuchów, drutów, sznurów i lin, uścielono ją do stóp — szarego człowieka...

Szeremu człowiekowi gwoli poszerzyć postanowiono tłumne Zakopane, wyciągnąć linię hoteli daleko i wysoko na wierchy skalne, wbić w żywe ciało uroczyska serpentynę zapylonych, gwarnych od automobili szos, rozweselić jałowość duszy „Totalansiehtem", niczym panoramą Racławicką.

Już nie długo szary człowiek będzie przewożony, wywożony, usadzony, wysadzony, piwem i bridżem na Kasprowym uraczony. Będzie również ułożony w wygodnej pościeli, w 200-pokojowym Palace-Kalatówki, gdzie śnić może słodko o radościach jutrzejszego śniadania.

A gdy zechce — (i zapłaci) — wyciąg lekko i bezszelestnie wyciągnie go i złoży na czole skalistego grzbietu, gdzie nań czekać będzie kiosk i— „leicarz".

„Kolejko górska" ze Stu Pociech nadwiślańskiej Pragi w serce skalnego Podhala przeniesiona! Nie kochają się serca nasze młode.

Serca nasze, otwarte na czar i prawdę bohaterską nieujarzmionej i wolnej przestrzeni. Serca zaprawne w trudzie fizycznym, odporne na zmęczenie marszu i wspinaczki. Serca nie przerosłe tłuszczem i obce kalkulacjom.

D Y S K U S Y J N A

POEZJA I PROGRAM

Stwierdzam: cała bogata poezja dnia dzisiejszego jest w szkole jak dotychczas „terra incognita", do której jedynie nieliczni skazańcy muzy przedzierają się poprzez splątany gąszcz najprzeróżniejszych prądów i kierunków nurtujących naszą współczesność artystyczną i z niezłamanym uporem doszukują się jej prawdziwego oblicza.

Naogół zaś dzisiejszy inteligent opuszczający szkołę średnią nie ma o poezji współczesnej żadnego pojęcia, a jeśli nawet zdołał pochwycić „po drodze" jakieś opinie, uwagi, zdania to nigdy z pewnością nie wzbudzą one u niego najmniejszego zainteresowania, bo są to najczęściej opinie ignorantów, którzy gdzieś tam coś kiedyś czytali i dlatego czują na sobie odpowiedzialność „poinformowania" innych o bzdurstwie i bezwartościowości nowej poezji. By zaś poprzeć swe uwagi jakimś autorytetem, wzdychają do wielkiej poezji romantycznej, choć właśnie z potępienia w czambuł wszystkiego, co nowe, wynika jasno i niezbicie, że tego rodzaju laudatorzy romantyków rozumieją ich tak, jak i współczesnych, czyli: wcale ich nie rozumieją.

Bo czyż można uwierzyć w ich rozumienie śmiałej, niekiedy nowoczesnej metaforyki Mickiewicza czy Słowackiego, jeśli nie mogą zrozumieć podobnej metaforyki współczesnych? Czymże właściwie (prócz pewnego „zdziczenia" formalnego u współczesnych) różnią się mickiewiczowskie „muzyki kwiatów", czy „lampy światów" np. od metaforyki jednego z współczesnych poetów młodego pokolenia:

ósmą godzinę znaczy twardy zegara terkot
dzieci w sobotach śmiejąc się biegną do szkoły
odprowadza je sad brzoskwiniowy a pachnie cierpko
jest tu i ranek jasny jak lusterko.

A przecie twierdzą, że poezja romantyków jest dla nich jasna i zrozumiała i tylko ta nieszczęsna współczesność nie może się zdobyć na jasny i prosty styl. Ci już z pewnością poglądów nie zmienią. Wychowani na sprozaizowanej, często banalnej poezji okresu przedwojennego nie zbliżą się już z pewnością nigdy do piękna nowych kierunków.

Lecz młodym z pomocą w właściwym spojrzeniu na naszą współczesność poetycką powinna przyjść właśnie szkoła, której program powinienby właściwie oświetlać najistotniejsze problemy nowej sztuki i raz na zawsze zerwać z bezpodstawną opinią o jej bzdurstwie i bezwartościowości.

Tymczasem programy szkolne, które uznają konieczność zaznajomienia naszej elity społecznej z bezstylową literaturą czasów saskich z poezją „księżyców pryncypalnych" i pamiętników panapaskowych — do współczesności odnoszą się najwyraźniej obojętnie, jakby się w niej nic godnego uwagi nie działo.

A właśnie poezja współczesna, jak nigdy przedtem — cierpi wprost na przeładowanie różnymi, ścierającymi się prądami i kierunkami, które przez owo ścieranie zmuszają się do ciągłej czujności i nieustannego poszukiwania najczystszej istoty poezji.

Ale ogół o tym nic nie wie. Wie natomiast dobrze, że poezja współczesna to bzdura i „zawracanie głowy" i że wobec tego brak zainteresowania nią jest najzupełniej słuszny i usprawiedliwiony.

Na rynku wydawniczym panuje z tego powodu stan katastrofalny. Wydają tylko ci, którzy mają pieniądze i to w niewielkich nakładach. Jeszcze proza znajduje czasami uznanie ogółu, natomiast z poezją rzecz ma się jak najgorzej. Firmy wydawnicze wydają niechętnie i tylko autorów znanych i uznanych. Młodzi wydają często na — koszt własny. Ze stu wydanych egzemplarzy lwią część „pochłaniają" krytyki i recenzje, reszta daremnie czeka w oknach księgarni. P u b l i c z n o ś ć p o e z j i tej nie rozumie, nie potrzebuje jej i nie docenia.

Ten „niedorozwój kulturalny" społeczeństwa w dużej mierze mogłyby usunąć programy szkolne, które jak dotychczas ignorują wartości nowej sztuki i uchylają się od jej uznawania.

A przecież — jedynie zorganizowana akcja uświadomienia bliskiej wszelkim nowym kierunkom młodzieży o istotnych tej nowej sztuki wartościach może naprawić fatalny jak dotychczas stan rzeczy.

Jan Marszałek.

Pamiętni jesteśmy jeszcze słów Przewodniczącego Z.H.P., mówiących o „spokojnej radości w obcowaniu z tatrzańską przyrodą, nienaruszoną zatrutym tchnieniem pseudocywilizacji i karnawałowym gwarem bywalców hotelowych, konsumentów piwa i amatorów pisania kartek z wysokich gór". Nie cofnięte dotąd zostało jego wezwanie rzucone ku młodzieży, ku harcerkom i harcerzom:

„...Którzy macie bratać się z ogniem, rozpalonym wśród pachnących żywicą lasów, poić swe młode dusze zaczarowanym pięknem jezior, rozbłysłych pod blask księżycowych nocy, i wspinać się z miłością w sercu na urwiste szczyty naszych gór — musicie maszerować w szeregu tych, co mówią tamtym ludziom z siekierami — wara!"

Pamięć nasza młoda, wierna. Pamiętamy!

Dzień, w którym zaterkotały motory na szczytach gór, zakołysały się wagony, odebrał Tatry — nam. Odebrał je urodzie Ojczyzny, oczom i sercom pokoleń zdobywców gór, jakie z nami i po nas nadejdą.

I zamiast Parkiem Narodowym, bożym, świętym, obdarzył ogrodem stu pociech na przedmieściu małego górskiego miasteczka. *J. T. N.*

Z cyklu: Anonimowe mocarstwa

JERZY URJASZ

Oskarżam naftę

Wielkie wojny współczesne, jawne i skryte walki o władzę, mają zazwyczaj tych samych nielicznych sprawców. Chodzi u nich zawsze o to samo: o zboże, bawełnę, żelazo, naftę. Wśród wojen o światową hegemonię gospodarczą, najbardziej charakterystyczną jest walka o naftę.

Minęły czasy, kiedy naftę spalano jedynie w kopcących lampkach, kiedy zaledwie dwadzieścia milionów ton światowej produkcji mogły znaleźć zastosowanie jako materiał oświetleniowy, reszta zaś jako produkt uboczny zalegała bezużytecznie rafinerie. Nadeszła epoka motoryzacji. Dziś ropa naftowa dostarcza paliwa flotom wojennym, siły napędowej płatowcom, czołgom, traktorom i samochodom. Nafta jest obecnie jednym z głównych czynników życia gospodarczego. Przed tysiącami laty nie przedstawiała żadnej wartości, dziś każda jej kropla ma wartość kropli krwi. Staje się ona potęgą poruszającą maszyny i... politykę. Armie i floty, pieniądze, całe narody niewiele zdziałają bez nafty. Władza należy do tego, kto posiada naftę. Nafta rządzi światem mocą swej potęgi finansowej, wyrażającej się sumą stu sześćdziesięciu miliardów złotych zainwestowanych w światowym przemyśle naftowym.

Walka o naftę jest niejako symbolem, wstrząsającym skrótem zmagań o przewagę w świecie.

Walką tą kieruje szczupła stosunkowo garstka osób, lecz giną w niej miliony. Bo tam gdzie jest nafta, tam jest wojna...

Kierownikiem angielskiej polityki naftowej jest William Deterding, który rozpoczął swą karierę, jako urzędnik banku z pensją 30 florenów miesięcznie. Dziś zarządza majątkiem wartości trzydziestu miliardów złotych. Skromny urzędnik holenderski wyrasta na potentata-dyktatora i przy pomocy lorda Bearsteada recte Samuela podejmuje walkę przeciwko Rockfellerowi o władzę nad światem. Tak powstał najpotężniejszy trust Royal Dutch Shella. Standard-Oil Company doszła do swej potęgi w Stanach Zjednoczonych a następnie w całym świecie nie tyle dzięki swym bogatym złożom naftowym lub olbrzymim kapitałom, którymi rozporządza, lecz dzięki zjednoczeniu w swym ręku środków transportowych dla własnej jak i cudzej ropy. S.-O. Company, pierwsza zaczęła budować naftociągi. Transport nafty przy pomocy naftociągu jest szesnastokrotnie tańszy od najtańszego frachtu kolejowego. Budowa jednego kilometra takiego naftociągu kosztuje około stu tysięcy złotych. Ta zdobycz techniki jest zupełnie niedostępna dla małych firm.

Posiadanie własnych tankowców morskich przerasta możliwości niezależnych małych firm naftowych. Dziesiątą część całkowitego tonażu światowego, osiem milionów ton, stanowią tankowce, a 72% tych okrętów znajduje się w posiadaniu Royal Dutch Shell. Wybudował je Marcus Samuel. Kiedy Rockfeller utracił monopol transportowy, nie pozostało mu nic innego jak nieubłagana walka konkurencyjna.

---

gadu-gadu

OBOZOWE TERE-FERE CZYLI MYSZY POLNEJ ŚMIERĆ TRAGICZNA

Właściwie nie powinienem o tym pisać.

Bo to wprawdzie nic takiego, ale zawsze...

Zresztą każdemu się może zdarzyć.

Więc — niech będzie. Tylko proszę o dyskrecję.

Ale żebyście nie myśleli, że to coś osobistego.

Jakieś uprzedzenie, albo co.

Broń Boże.

Z lwowiakami zawsze dobrze żyłem.

Lwów kocham od maleńkości.

„W dzień marcowy i ponury"... śpiewam jak baciar z Zamarstynowa. Albo z Gródka.

Więc o złośliwość mnie nie posądzajcie.

Tylko...

Tylko, że prawdę mówiąc, to mnie wtenczas trochę... no trochę tego...

Zdenerwowało mnie.

Bo posłuchajcie sami.

Tubylcza — że tak powiem — niewiasta, odbita właśnie kochanemu Wolffowi, położyła swą cudną dłoń na mym ramieniu, ja w rytm czegoś tam począłem ją permanentnie deptać po paluszkach dolnych kończyn, rzeczony Wolff (nawiasem mówiąc instruktor, i to srogi) zasztyletował mnie spojrzeniem (karna warta jak mur!) — słowem chwila pełna swoistego uroku, gdy w tym...

Tylko nie myślcie, że koloryzuję.

Poprostu... padł strzał.

Drugi...

Trzeci...

Ludzie ze Standard-Oil byli kupcami, ludzie z Royal Dutch — politykami. Posiadając monopol środków transportowych Standard-Oil nie przywiązywała wagi do posiadania własnych terenów. Polityka ta zemściła się z chwilą, gdy na wybrzeżu Pacyfiku, w Nowym Meksyku, Takocie i Newadzie poczęły wyrastać filie Deterdinga. W rękach Royal-Dutch Shell znalazły się najbogatsze źródła kalifornijskie. 43% naftowej całkowitej produkcji Royal-Dutch pochodzi z Ameryki. Walka o tereny roponośne staje się wobec grozy „głodu paliwa" coraz ostrzejsza, coraz bardziej bezwzględna. Wkrótce w ręce Deterdinga przechodzą złoża naftowe południowych i zachodnich Stanów Meksyku, Hondurasu, Kolumbii i Wenezueli.

Do Standard-Oil należą nie tylko rafinerie i pipeline'y (naftociągi), szyby i tankowce, ale i przeważna część prasy amerykańskiej. Jest udziałowcem 84 dzienników. Udział S.-O. w tych wydawnictwach wynosi 104 miliony dolarów. Za ich pomocą prowadzi się wojny przeciwko Deterdingowi. Anglicy przy pomocy nafty ujarzmili większą część Ameryki Południowej skuteczniej, niżby to uczynili przy pomocy armii lub wielkich akcji dyplomatycznych.

Nie wszystkim wiadomo, że angielska służba wywiadowcza pod względem politycznym i finansowym jest niezależna od parlamentu i rządu. Reilly, sławny szpieg i szef wywiadu angielskiego w Rosji, zdobywa dokument, który czyni z Anglii trzecią obok Ameryki i Rosji potęgę naftową. Olbrzymie bogactwa ropne Persji stają się własnością Anglo-Persian-Oil, której 56% akcji znajduje się w rękach brytyjskiej admiralicji i innych instytucji rządowych. W 1929 roku Anglo-Persian-Oil eksploatuje obszar dwa razy większy od Francji, uzyskując 200 milionów złotych czystego dochodu. Kapitał firmy wzrósł z dwóch do trzynastu milionów funtów. W r. 1913 wydobyto 80.000 ton ropy, w 1930-ym sześć milionów ton. Owładnięcie perską naftą przez Anglię zapoczątkowało lata żmudnej pracy i okrutnej walki. Polem pierwszej walnej bitwy między nafciarzami angielskimi a amerykańskimi stały się Chiny, kolebka przemysłu naftowego. Wojna o naftę toczy się bowiem nie tylko pomiędzy Deterdingiem a Rockfellerem, ale pomiędzy Ameryką i Anglią. Anglia zorganizowała przy pomocy Deterdinga Petroleum-Imperial-Policy-Commission, która czuwa nad tym, by wszystkie angielskie firmy naftowe były kontrolowane wyłącznie przez kapitał angielski i kierowane przez ludzi cieszących się zaufaniem rządu brytyjskiego. W praktyce oznacza to, że państwo ma możność objęcia w każdej chwili zarządu całym przemysłem naftowym.

Spór Rockefeller—Deterding wraz z wybuchem wojny światowej zamienia się w przymierze: Conference-Interalliée-du Pétrol. Strumienie nafty zamieniają się dla nich w strumienie złota.

W r. 1913 Royal Dutch zapłaciła 27 milionów guldenów holenderskich dywidendy, w 1919 — 96 milionów! *(c. d. n.).*



Borysław.

I tak aż do dziesięciu. Może zresztą było mniej. Kwatermistrz twierdził, że było trzynaście, czyli że jutro nie będzie masła jak Amen w Składzie Apostolskim. Masła rzeczywiście nie było. Ale o to mniejsza.

A potem ktoś krzyknął: „Alarm! Pali się!" I rzuciliśmy się do pożaru.

Wszyscy. Goście też. I orkiestra z K.O.P.-u.

Mogłoby kogoś zastanowić, skąd byli goście i orkiestra. Otóż goście byli zewsząd. A orkiestra z Kudryniec. Bo zapomniałem wam powiedzieć, że u nas był kiermasz. Obozów poznańskiego i lwowskiego. Tylko, że Lwów zrobił o 9-tej apel i poszli spać. A my nie. I stąd cała historia. Ale o tym później.

Więc — goście byli na kiermaszu. I orkiestra też.

No i wszyscy pobiegli do pożaru. Ale pożaru nie było. Byli natomiast złodzieje. W poznańskiej kuchni. Nic zresztą nie zabrali. Bo ich lwowska warta spłoszyła. Ogniem z małokalibrówek. Całe szczęście. Poznaniacy nic nie widzieli, ani słyszeli. Strzały — owszem. Ale złodziei nie.

Bystrość lwowian ocaliła poznańskie wiktuały. Złodzieje przerażeni bohaterską postawą obrońców poniechali szperki i zwiali w słoneczniki.

Zresztą niewiadomo, czy to byli zwyczajni złodzieje.

Bo śladów żadnych nie zostawili.

Osobiście dopatrywałbym się tu działania sił nadprzyrodzonych.

Tylko, że coś tam z orientacją nie było tęgo. Zamiast na bezbronnych poznaniaków, natarcie duchów poszło na lwowskie karabiny. A poznaniacy odrazu dudy w miech. Niby nie widzieli. Tamci kijów ognistych imali.

I skutecznie. Znaleziono później martwą mysz polną. Z przestrachu zdechła. Myślała, że wojna. Albo, że złodzieje w jej spiżarni. Więc się zlękła.

———o———

A kiermasz się skończył. I Lwów mógł spokojnie spać.

— Ta si brachu nie gniwaj! Frajda była, taj już? Dawaj grabe!

Tadeusz Stasinowski, Inowrocław

Echa obozowe

Maria Korniłłowicz-Strońska

NA WĘDRÓWCE

Łódzkie obozy strażowe mają jeden piękny zwyczaj. Oto co roku, po kilkunastu dniach pobytu w Stajkach nad Dźwiną uczestniczki dzielą się na grupy i wyruszają na parodniową włóczęgę po kraju. Każda z „band" wędrownych ma inny cel. Czasem linia marszu idzie wzdłuż granicy sowieckiej — martwej i smutnej, odciętej od świata. Kiedy indziej chodzi o zapoznanie się z szkołą lniarską i zagadnieniem produkcji lnu, lub o zorientowanie się w zagadnieniach etnograficznych.

W tym roku kilkanaście uczestniczek pod dowództwem samej komendantki wyszło „w teren", aby poznać, zapamiętać, sfotografować lub narysować stare drewniane dwory pięknej Brasławszczyzny.

Przed wymarszem odprawa. Studiujemy z mapy naszą trasę. Komendantka dzieli ją na odcinki, wyznacza przewodniczki i gospodynie. Pierwsze mają nauczyć się drogi i prowadzić nieomylnie do celu. Drugie zaopiekują się zapasami żywności i zorganizowaniem popasów.

Wyruszamy 19.VII. po wczesnym obiedzie. I choć to daleko od Mickiewiczowskiej Nowogródczyzny, przychodzą przecie na myśl słowa o polach malowanych zbożem rozmaitym, o pagórkach niewielkich i brzozowych gajach. Idziemy wąską drogą, to wbiegającą na strome wzgórza, to opadającą w szerokie kwieciste łąki. Rozglądamy się po kraju. I tu pierwsza przygoda. Przewodniczki coś tam pokręciły, gubiąc właściwy szlak. Trzeba zawracać — na szczęście nie daleko. Mimo to sprawiedliwości musi stać się zadość, więc podmówione przeze mnie obozowniczki podśpiewują zwrotki starej legionowej piosenki: „Pewnie by nas wcale nie bolały nogi, gdyby przewodniczki (powinno być komendanci) nie skracały drogi". Dochodzimy do Ustrzeża. Odwieczny drewniany dwór szeroko się rozsiadł, wrósł w ziemię i niewielkimi oknami spogląda w ogród.

Prosimy o pozwolenie obejrzenia domu z zewnątrz i ogrodu. Wąziutką krętą ścieżką schodzimy nad brzeg stromej, niemal urwistej ściany. W głębokim zadrzewionym wąwozie płynie Wiatka. Szumi, u brzegu bełkoce ciemna wstęga wody. Szumi, gwarzy nie jak leniwa woda nizinnych rzek, biegnie jak górski potok i na górską modłę wyśpiewuje swoją pieśń pędu i pośpiechu. Pięknie tu — ale dziwnie smutno. We dworze, w jego otoczeniu jest smutek, smutek form, które się kończą, przeżywają. I chciałoby się widzieć ten stary dom wypełniony jakimś nowym, młodym życiem, prześwietlany nowymi celami.

Dziś Ustrzeż — trwa i czeka. Trwanie i czekanie nie są życiem.

Rysowniczki gorączkowo rysują w swych blokach. Sucho trzaskają Kodaki.

Idziemy dalej. Najbliższy cel to Międzyrzecz (między Dźwiną i Wiatką). Do dworu prowadzi wspaniała szeroka aleja drzew błogosławiących rozrośniętymi konarami, piaszczystą drogę, rozległe łany kwitnących lnów. — W Międzyrzeczu gościnni po staropolsku gospodarze p.p. Oskierkowie nie tylko pozwalają obejrzeć całą siedzibę, ale zapraszają na nocleg, przeznaczając nań obszerną pełną świeżo zwiezionego siana stodołę. Wiele z pośród naszych wędrowniczek widzi po raz pierwszy dworskie wiejskie życie. Przyglądają się z zainteresowaniem dużym izbom mieszkalnym umeblowanym resztkami (dwór przeżył dwa najazdy bolszewickie) pysznych starych mebli, na których zrabowany adamaszek czy atłas zastąpiły lniane — szlachetne w kolorze i rysunku samodziały międzyrzeckie. Na typowym dla naszych dworów ganku zapijamy się zsiadłym mlekiem, po czym rozpoczynamy dokładne oględziny.

Nie wszystkie zresztą. Grupa dziewcząt ledwie odsapnąwszy, podążyła do wsi Jakuże i Stasiule. Mają zaprosić ludność na ognisko, które zorganizujemy wieczorem, i nazbierać chróstu.

O zmroku wyruszamy wszyscy. Na wysokim brzegu Wiatki rozpala komendantka ogień. Z początku ledwie się tli, wreszcie wybucha snopami iskier, zaczyna się specjalny wrzask i jęk płonącego drzewa. Do wtóru płynie pieśń „Płonie ognisko i szumią knieje".

Program dość urozmaicony — śpiew, inscenizacja, tańce. Na zakończenie I Brygada i Pod Twoją Obronę.

Zebrani zachowują się raczej chłodno. To nie to co w okolicach Stajek, gdzie już od paru lat trwa i pogłębia się ogniskowy kontakt obozu z wsią.

Ale to nic, odwiedzimy jeszcze raz ten kąt, drugi i trzeci i zadzierzgniemy mocno nić porozumienia.

Wracamy w rzęsistym deszczu. Sen. O szóstej rano po wybornym śniadaniu żegnamy paru piosenkami dwór i jego mieszkańców i po wąziutkiej chwiejnej kładce rzuconej wysoko ponad nurtem wody (drżą nogi i niezwyczajne takich dróg serca podchodzą pod gardło) przeprawiamy się na drugi brzeg Wiatki.

Przed południem stajemy w Krycewiczach. Wspaniały pełen kwiatów ogród. Jasny parterowy dom gościnny otwiera podwoje. Krycewicze zaleczyły już rany zadane przez wojnę. Pogodnie tu, jasno. I mimo to, że nowe piękne wydawnictwa leżą w salonie i gabinecie, mimo, że dwór tętni życiem, pracą gospodarską — że rozległe zainteresowania współczesnością widoczne na każdym miejscu — jest coś w atmosferze, co każe myśleć o przeszłości, o tym, co w niej było piękne i żywe. Może to ten belkowany strop w jadalni, może stojący obok dworu świronek z potężnymi, okutymi żelazem drzwiami, na których modrzewiowe deski układają się w deseń jodełki.

Uroczo zespoliła się w Krycewiczach wysoka kultura ludzi XX wieku z czarem dawnych tradycyj, ciszą i spokojem wsi.

W pięknym salonie gospodyni rozmawia z nami o Straży, o naszej pracy, o wynikach i celach. Tu nie trzeba budować łączących mostów. Zostały one już dawno przerzucone.

Czujemy się tu tak dobrze i swojsko w promieniach oczu Komendanta spoglądającego na nas z portretu, w atmosferze miłej serdeczności stworzonej przez p. Fedorowiczową, że żal odejść. Zwłaszcza, że chmurzy się niebo i zaczyna siąpić zimny deszcz.

Ale komu w drogę — temu czas.

W dwudziestolecie niepodległego teatru

W wysiłku odbudowy polskiej rzeczywistości po latach wojny nie pominięto sprawy teatru, doceniając jego olbrzymią rolę kulturalno-oświatową i wychowawczą w nowym państwie.

W pierwszych latach przystąpiono do odbudowania pierwszej polskiej sceny dramatycznej, dotkniętej 2 listopada 1919 r. klęską pożogi. Nie szczędząc wysiłków i pieniędzy wskrzeszono społecznym wysiłkiem świątynię polskiego słowa, odbudowano w sierpniu 1924 r. scenę Teatru Narodowego. Stąd przede wszystkim promieniował nowy duch twórczy, któremu sekundowały, świetną tradycję posiadające teatry krakowski i lwowski, jak i nowe placówki, otwierane w większych miastach.

Wraz z nowymi ośrodkami teatralnymi zrodziła się konieczność stworzenia nowych form artystycznych i podejść inscenizacyjno-reżyserskich, przystosowanych do innej, aktualnej rzeczywistości. Teatr monumentalny, stylizacja, przystosowany do naszych potrzeb naturalizm Meiningeńczyków — kierunki te otworzyły przed naszym teatrem nowe drogi rozwoju.

Przesunęli się przez scenę wielcy aktorzy: Kamiński, Kotarbiński, Frenkiel, od szeregu lat laury zbierają: Solski, Leszczyński, Jaracz, Junosza-Stępowski, Zelwerowicz, wreszcie genialna Stanisława Wysocka, — artyści o których mówi się zagranicą z zazdrością. I jeśli nasze warunki gospodarcze sprawiły, że strona techniczno-inwestycyjna teatrów polskich w porównaniu z zagranicą przedstawia bardzo wiele do życzenia, o tyle — z czystym sumieniem i pełnym obiektywizmem stwierdzić trzeba, że zarówno polski aktor jak i reżyser godnie reprezentują nasz dramat na scenie, osiągając wyniki, jakimi nie mogą się często poszczycić najkulturalniejsze narody europejskie, o starych tradycjach teatralnych.

Lecz genialni aktorzy, ani wielcy reżyserzy nie spełnią swej misji artystycznej, gdy praca ich nie znajdzie oddźwięku i zrozumienia w szerokich rzeszach odbiorców. Poza tym — twórczy wysiłek aktora i reżysera spotyka się z bardziej utrudnionymi warunkami oceny, niż praca malarza, rzeźbiarza, czy muzyka. Podczas, gdy każdy z wspomnianych artystów, nawet nie będąc zrozumiany i należycie przyjęty przez współczesnych mu — ma możność zostawić utrwaloną w rzeźbie, obrazie czy partyturze spuściznę twórczą ku ocenie przyszłych pokoleń — aktor znajduje rację bytu tylko wtedy, gdy grę jego zarejestruje i utrwali najprecyzyjniejszy aparat: serce widza.

Ten cel przyświecał powstaniu Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej w Polsce, które postawiło sobie za cel spopularyzować i udostępnić teatr najszerszemu ogółowi. Objęcie kierownictwa nad pięcioma najważniejszymi teatrami stolicy, popieranie placówek prowincjonalnych, zorganizowanie teatrów objazdowych dla wsi i miasteczek, propaganda idei teatru, a przede wszystkim ułatwianie dostępu do widowisk teatralnych młodzieży szkolnej — oto zarys bogatej i owocnej pracy T. K. K. T.

Zatroszczono się również o należyte zorganizowanie uczelni, której zadaniem byłoby wyszkolenie odpowiednio uzdolnionych jednostek i przysposobienie ich do odpowiedzialnej służby na deskach polskiej sceny. Istniejący Oddział Dramatyczny przy Konserwatorium w Warszawie zostaje przekształcony na samodzielną uczelnię tzw. Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej, gdzie zgrupowano najwybitniejszych fachowców sceny. O poziomie szkoły świadczą liczne odwiedziny specjalistów zagranicznych, którzy po kilka nieraz miesięcy badają sposoby pedagogiki aktorskiej, pozwalającej osiągnąć tak pozytywne rezultaty.

Należy również wspomnieć o organizacji aktorów polskich, którzy zgrupowani w tzw. Z.A.S.P.-ie tworzą aktywną i pożyteczną komórkę w życiu społecznym Polski.

Patrząc dziś, po 20 latach rozwoju na całokształt prac i osiągniętych rezultatów wśród wspaniałych poczynań, zmierzających ku podniesieniu poziomu życia kulturalnego, znajdujemy wśród nich na zdrowych podstawach oparty polski teatr, który dzięki coraz większemu zrozumieniu jego znaczenia wśród szerokich mas, a przede wszystkim młodzieży — rozwija się nieustannie, pozwalając żywić nadzieję, że nadejdzie chwila, gdy kroczyć będzie na czele teatrów europejskich.

Stanisław Kubiak.

LISTY DO REDAKCJI.

PRZEŻYCIA OSTATNICH DNI

Ostatnie dni września i początek października podobnie, jak w całej Polsce tak i u nas w Chełmnie znalazły silny oddźwięk w sercach naszych. Wytworzony konflikt między Polską a Czechami żywo nas interesował. Z zapartym oddechem wszystkie śledziłyśmy polityczne zmaganie się dwu sił: Polski upominającej się o podstępnie wydarty nam Śląsk Zaolzański i Czechosłowacji, nieprawnie władającej tą rdzennie polską ziemią, starającej się wszelkiego rodzaju szykanami ją zczechizować. Na krzyk rozpaczy krzywdzonej dziatwy, dochodzący z za kordonu reagowałyśmy żywo pisząc i projektując serdeczne odezwy do naszych współbraci. Gdyśmy się tylko dowiedziały o wymarszu wojsk z naszego miasta do miejsc, gdzie Ojczyzna je powołała w sercach naszych zrodziło się pragnienie, by — nie szczędząc naszych młodocianych sił — w jakikolwiek sposób starać się spełnić obowiązek obywatelek-patriotek. Podawanych przez radio wiadomości i transmisji z manifestacji protestacyjnych wysłuchiwałyśmy z przyśpieszonym tętnem serc. Stając przed pytaniem: wojna czy pokój — w niezwykłym naprężeniu oczekiwałyśmy przyszłości.

A potem nadszedł 2.X. dzień wielki — dzień upragnionego zwycięstwa — dzień, w którym z ust Marszałka Śmigłego-Rydza — padł rozkaz prosty a mocny: „Maszerować!" Z jakąż wielką radością przyjęłyśmy to radosne: Śląsk Zaolzański wraca do Polski! Nie umiałyśmy panować nad mimowolnymi łzami cisnącymi się do oczu, nie mogłyśmy powstrzymać się od śpiewania pieśni narodowych, od wiwatów na cześć Śląska zjednoczonego z naszą Ojczyzną! Konkretnym wyrazem naszej radości był wspólnie przez nasze gimnazjum ufundowany i wysłany do jednej ze szkół zaolzańskich album z Chełmna wraz z dołączoną kwotą na pomoc dla najbiedniejszych dzieci. Tym gestem zewnętrznym dałyśmy wyraz swej miłości dla współbraci z za Olzy!

Helena Kilianówna, Chełmno, kl. IV.

Nadsyłajcie materjały, artykuły, wiersze, rysunki, reportaże do następnego n-ru „W MŁODYCH OCZACH."

(Dokończ. artykułu ze str. 9).

wrotną szybkością. Znów przyciska cię do siodełka. Pilot wyrównuje. Nowy immerglück. Ziemia zaczyna się obracać w koło maszyny. Wybiega z pod lewego skrzydła i przykrywa samolot swoim ogromem. Znów brunatno nad głową. Wright cichnie. P.W.S. w wolnej turze przepada ku ziemi. Ta zwolna zbliża się ku twojej głowie. Wyprowadzi — nie wyprowadzi? Silnik znowu ryknął, drugi półobrót i ziemia wraca na swoje miejsce. Masz już właściwie dosyć, zupełnie dosyć, ale pilot robi jeszcze nad lotniskiem dwie ósemki i skręca się w wariackim skoku.

Czas lądować. Motor ścicha. Maszyna kładzie się w spiralę. Dolny płat wbity w ziemię, górne końce samotnie sterczą w przestrzeni. Ziemia obraca się płynnie wokoło dolnego płata. Zaczynasz odczuwać nieprzyjemny ucisk w uszach, spowodowany szybką utratą wysokości. Aby pozbyć się przykrego uczucia połykasz prędko ślinę. Spirala się kończy. Jeszcze jest za wysoko. Wśród ciszy przód samolotu wysuwa się nad horyzont. Nagle maszyna kładzie się na skrzydło i z piekielnym gwizdem linek rżnie ku ziemi w korkociągu. Siła odśrodkowa wysadza cię z kabiny. Czujesz ucisk pasów na ramionach. Muzyka linek cichnie. Na stu metrach ślizg w lewo, w prawo. Krótkie podejście. Nad samą ziemią jeszcze ryzykowna „żyletka" dla wytracenia szybkości, loty otwierają się ze szczękiem, jeden, drugi wstrząs i — siedzimy. Pilot kołuje ku hangarowi, zamiatając uczepionymi u skrzydeł mechanikami. Maszyna staje. Wyłazisz powoli z kabiny, zawadzając butami o okucie. W głowie szumi, niczym Wright... Zdejmujesz kombinezon i oto z pod szarego jedwabiu wyłazi... granat szkolnego mundurka. Bo szary kombinezon i błyszczący samolot są teraz od święta, a na codzień miast steru dzierżysz w garści — wieczne pióro...

Zygmunt Klemensiewicz: „W ROJOWISKU CZĄSTECZEK". Wyd. Państw. Wyd. Książek Szkoln.

Książeczka Klemensiewicza zapełnia bardzo poważną lukę w literaturze fizycznej. Dotychczas mieliśmy właściwie książki tylko dwóch typów — albo w ogromnie prymitywny sposób opowiadające Maciusiowi, jakie to cuda — mój Boże — dzieją się na tym świecie, albo prace poważne, w sposób głęboki i wyczerpujący omawiający różne dziedziny fizyki, książki dobre i warte poznania — lecz niestety nieczytelne.

Tak jest — nieczytelne — i nie można im z tego robić zarzutu. F i z y k a b e z m a t e m a t y k i t o c y r k — szereg ciekawych eksperymentów, nawet połączonych pewną więzią logiczną, nawet wynikających jeden z drugiego, lecz związek ten jest czysto zewnętrzny — jeśli można tak powiedzieć — optyczny.

Dopiero ilościowe ujęcie i badanie zjawisk odkrywa nam ich treść wewnętrzną, ujawnia zupełnie niespodziewane tajemnice, pozwala nam dotrzeć tam, gdzie — bez przenośni — wzrok już nie sięga. Ale książki tak do fizyki podchodzące były nieczytelne. Okropne dla niewtajemniczonych symbole, jakieś robaczki, zygzaki, duże i małe litery greckie, niezrozumiałe terminy — wszystko to tworzyło gąszcz nieprzebyty, w którym gubił się odważny, lecz młody podróżnik w świecie zjawisk. Nawet jeśli początek wydawał się jasny i oczywisty, to następujące po nim „wyjaśnienia" plątały wszystko na nowo. I działo się tak, że nawet miłośnicy fizyki znali tylko — c y r k.

F i z y k a o d m a t e m a t y k i o d d z i e l i ć s i ę n i e d a, lecz połączyć ją można w różny sposób i właśnie Klemensiewicz z a d a ł s o b i e t r u d o p r a c o w a n i a t a k i e g o p o ł ą c z e n i a, któreby spełniając postulat wierności i ścisłości było zarazem możliwe do strawienia i przyswojenia przez czytelnika posiadającego wiele ciekawości — i normalne wiadomości z matematyki na poziomie szkoły średniej. Książka ta o m a w i a j ą c p r o b l e m y p o r u s z a n e w l i c e a l n y m k u r s i e f i z y k i i c h e m i i p o g ł ę b i a j e w z a d z i w i a j ą c y s p o s ó b, uczy jak rzeczy przyjęte „na wiarę" i zaufanie do pana profesora" można rozpracować i zrozumieć — daje niezwykłą satysfakcję poznania drobnej części wewnętrznej maszynerii pewnego działu wiedzy — zachęca do dalszej pracy nad zdobywaniem najgłębszych, bo m a t e m a t y c z n y c h p o d s t a w ś w i a t o p o g l ą d u.

Fr. Gr.

E. P. E h r l i c h: „JAK SPRZEDAWAĆ". Wyd. Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych.

„Jak sprzedawać" oto tytuł niedawno wydanej książki Emila Piotra Ehrlicha, mieszczącej w sobie wiele cennych wskazań dla sprzedawcy.

Na początku krótki rzut w przeszłość: jak sprzedawano dawniej, stosunek klienta do sprzedawcy (Arystoteles twierdził, że sprzedawca a fałszerz monet to jedno), konieczność nowoczesnych sposobów sprzedaży idącej z postępem współczesnej techniki handlowej, komunikacji, z formami współczesnego życia gospodarczego.

Sztuka sprzedawania składa się z dwóch umiejętności 1) właściwego przedstawienia zalet towaru, aby u klienta obudzić chęć kupna; 2) uprzejmej obsługi, aby klient był zadowolony i stał się trwałym odbiorcą.

Uczciwość, szczerość oraz uprzejmość oto cechy, które powinny zdobić każdego sprzedawcę. Jakże mało tych cech spotykamy dziś jeszcze u sprzedawców polskich! Jakże brak ich ciąży jeszcze na rozwoju handlu n a r o d o w e g o.

Punktualność, dotrzymanie słowa, umiejętność szybkiego oceniania typu klienta, jego gustu—oto dalsze warunki pomyślnego rozwoju przedsiębiorstwa.

Nie sprzedaż towaru, lecz jego zalety zachęcą klienta do kupna. (Nie sprzedawaj radia, lecz — w i e c z o r y p r z y m u z y c e!).

Książka poza tym zawiera wiele pożytecznych ilustracyj obrazujących cechy dodatnie i ujemne sprzedaży. Każdy handlowiec powinien posiadać taką książkę, znać ją jak elementarz, a wtedy nie będzie narzekać na złe czasy i bankructwa.

„Znaj duszę ludzką! Nie sprzedawaj klientowi martwych rzeczy, ale sprzedawaj mu u c z u c i a, o p t y m i z m i r a d o ś ć ż y c i a".

Marcin Bor.

ODPOWIEDZI REDAKCJI Z POWODU BRAKU MIEJSCA ZMUSZENI JESTEŚMY ODŁOŻYĆ DO N=RU NASTĘPNEGO.

REDAKCJA ZAWIADAMIA, ŻE CZŁONKOM — KORESPONDENTOM, KTÓRZY NADESŁALI FOTOGRAFIE DO LEGITYMACJI REDAKCYJNEJ ORAZ MATERIAŁY, NIEBAWEM UDZIELAĆ BĘDZIE ODPOWIEDZI.

WYDAWCA IMIENIEM STRAŻY PRZEDNIEJ: B. WASYLEWSKI

REDAGUJE KOMITET

Zakłady Graficzno-Introligatorskie J. DZIEWULSKI, Warszawa, Mariensztadt 8

TRYLOGIA WIEDZY

Państwowe Wydawnictwo książek szkolnych: E. Gombrich. Godziny wieków, 1938. Str. 320, 69 ilustracji. K. Hartl. Świat rzeczy wielkich i małych. 1938. str. 300, 77 ilustracji. E. H. Schrenzel. Bracia z całego świata.

Istnieją, jak wiadomo, książki „dla dzieci od lat 5-ciu do 80-ciu", książki, które ciekawią wszystkich i które każdy czyta z zainteresowaniem i każdy rozumie. Pisać łatwo i barwnie, mówić rzeczy nowe, „uczyć, nie nudząc" oto kierunek twórczości pisarskiej, który postawił sobie za zadanie popularyzować wszelką wiedzę wśród czytelników każdego autoramentu. Jest rzeczą wiadomą, że od dziecka do późnej starości człowiek przeciętny grzęźnie nieraz w przeraźliwej niewiedzy o tym, co się dzieje wokół niego, co było dawniej, co jest gdzie indziej, jak powstają zjawiska i rzeczy, do których przywykliśmy w życiu codziennym. Szczypta historii, skromna porcja geografii, którą wynosi się ze szkoły a o której pamięć rychło ginie, jest to często cały ładunek wiedzy o ludziach i o świecie, na którym opiera się z dumą obnoszone t. zw. wykształcenie. Wykształcenie to nie starczy jednak często — jak wiadomo — na to, by... rozwiązać prostą krzyżykówkę, ponieważ taki „homo sapiens" nie ma wyobrażenia o „tytule najwyższego kapłana w Babilonii" ani o trójgłoskowej rzece, która zaczyna się na „i" i kończy na „n". *Gdzie, kiedy, jak* — na pytanie te starsi często nie potrafią odpowiedzieć. Gdzie mieszkają Irokezi? Kiedy żył Konfucjusz? Jak się robi mydło?—Nie nudź—odpowiada się wtedy młodszemu bratu i zasiada się do przepięknej arcyciekawej lektury p. t. „Bokser i lady". A współczesny młodszy braciszek zasiada do studiów nad historią świata, etnografią, i — genezą rzeczy. Nie jest to przesada. Mali chłopcy czytają Hartla, Schrenzla czy Gombricha a duży — Decobrę, Marczyńskiego i Zarzycką. Młodszy brat jest potem małym uczonym, a starszy — dużym głuptasem.

Wszystko to przychodzi na myśl, gdy czyta się trzy wspaniałe tomy, wydane przez Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych. Niby dla młodzieży, w gruncie rzeczy dla wszystkich. Jest to: „Biblioteka potrójnego węzła", wydawana po hasłem: Gdzie — kiedy — jak? Trzy pierwsze tomy tej biblioteki próbują jak gdyby rozsupłać trzy takie gordyjskie węzły wiedzy o ludziach, o świecie i o rzeczach. Są to: Schrenzla: Bracia z całego świata, Gombricha: Godziny wieków i Hartla: Świat rzeczy wielkich i małych. Trzy duże, trzystostronicowe, okazale wydane księgi zawierają w sobie taką porcję wiedzy, wyłożonej porywająco, jak sensacyjna powieść, systematycznie, jak dzieło naukowe i łatwo, jak „przygody Fiki-Miki", że po przeczytaniu ich młody czytelnik czuje się mądrzejszym o parę klas gimnazjalnych. Poznał bowiem ni mniej ni więcej tylko historię powszechną świata, zdobył wiedzę o wszystkich zamieszkujących go ludziach a na dodatek znajomość *genezy* rzeczy, stworzonych przez człowieka na tym „najpiękniejszych ze światów". Doszedł do tego bez wysiłku, bez wkuwania i strachu przed pałą. Trudno w to uwierzyć, ale nauczył się tego wszystkiego z — *przyjemnością*. Przeczytał to, jak dowcipną, z niezwykłą swadą i plastyką napisaną — trylogię. Dlatego szczerze zachęcamy do nabycia i przeczytania tych małych arcydziełek popularyzacji wiedzy. Nie obeszło się w nich też bez usterek, bez cech, które polskiemu czytelnikowi w smak pójść ni mogą. Tak więc kardynalnym grzechem „Godzin wieków" Gombricha jest to, że ani godziny ani minuty nawet nie poświęcił Polsce. Skruszony autor zapewnia jednak na wstępie, że nie znał języka polskiego i nie miał dostępu do materiałów o Polsce. Wydawnictwo zaś obiecuje, że w przyszłości rzecz ta zostanie uzupełniona.

Przekłady polskie: Zygmunta Nowakowskiego, Z. Rudzkiej i R. Makara.

Wiktor Brumer

„MEININGENCZYCY"

W dziale prac teatrologicznych ukazała się niedawno nakł. Państw. Wyd. Książek Szkoln., na półkach księgarskich nowa książka, wydana z inicjatywy Z.A.S.P.-u, której tytuł „Meiningenczycy" brzmi może dość tajemniczo dla czytelnika, znającego jedynie teatr od widowni.

Jest to studium o działalności artystycznej niemieckiego teatru w Meiningen, którego praca przypada na dziewięćdziesiąte lata ubiegłego stulecia. Autorem pracy jest popularny i ceniony w świecie polskich teatrologów Wiktor Brumer.

Autor zapoznaje nas jasno i systematycznie z prądami teatru niemieckiego w okresie poprzedzającym Meiningeńczyków. Scharakteryzowawszy nastroje, z których zrodził się nowy prąd teatralny, zatrzymuje się dłużej nad zagadnieniem stosunku aktora do zespołu, jego nieodzownych cech charakteru, pozwalających na owocny, zbiorowy wysiłek, wykluczający wirtuozowskie gierki rywalizujących jednostek. Dalej omawia zagadnienie wyrazistości gry statystów pod hasłem „statysta — aktorem". Jest to jedno z wielu zagadnień jakie stawili sobie Meiningeńczycy do rozwiązania. Sławna grupa z Meiningen reprezentowała r e a l i z m w inscenizacji sztuk czasów minionych, dążyła do osiągnięcia możliwie dużej prawdy historycznej, posługując się przede wszystkim odpowiednią dekoracją i kostiumem. Meiningeńczyków — według Brumera — cechowało duże poczucie teatralności, unikanie taniego efekciarstwa, ciągła kontrola poczynań reżysera z reakcją ludzi „z drugiej strony rampy", wreszcie nastawienie artystyczne, mające na względzie dobro dzieła, a wykluczające cele kasowe, czy polityczne.

W zakończeniu, omawiając znaczenie Meiningeńczyków dla teatru europejskiego przyznaje im autor stworzenie sceny uproszczonej i wydobycie aktorstwa z sztuczności i martwej wegetacji, oraz zapoczątkowanie wystawiania utworów w postaci, w jakiej pisali je autorzy.

Wdzięczny temat, sposób naświetlania zagadnień, i ujęcie, oparte na dość bogatej w tym dziale bibliografii pozwalają ocenić pracę, jako sumienną i wartościową, a tym samym godną polecenia szerszemu ogółowi młodzieży, której związek z teatrem w ostatnich czasach pocieszająco zaczyna się zacieśniać.

Stanisław Kubiak.

W MŁODYCH OCZACH

CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

wyd. przez Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży

STRAŻ PRZEDNIA



WARUNKI PRENUMERATY

PRENUMERATA ROCZNA ZŁ. 3.00

PRENUMERATA PÓŁROCZNA ZŁ. 1.50

Cena pojedyńczego numeru 30 gr

NALEŻNOŚĆ WPŁACAĆ PRZEKAZEM ROZRACHUNKOWYM Nr 275

z zaznaczeniem na odwrocie: pren. „W MŁODYCH OCZACH"

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI

WARSZAWA, ŚWIĘTOKRZYSKA 30, M. 8

Zakłady Graf.-Introligatorskie J. DZIEWULSKI, Warszawa, Mariensztadt 8